

1

Moje dzieciństwo skończyło się nagle pewnego zwykłego dnia 1991 roku wczesnym latem. Było parno, dorośli już od samego rana z utęsknieniem czekali na popołudniową burzę, a my, dzieci, dziwiliśmy się, dlaczego ci wszyscy ludzie, którzy w ogródkach na Šijanie nie mieli pomidorów i cukinii, potrzebują deszczu w sezonie kąpielowym. Bo nasz świat był wtedy całkiem inny niż świat naszych rodziców, uważaliśmy, że dorośli to istoty z innej planety, interesujące tylko wtedy, gdy nie mają rąk albo nóg, zapuszczają włosy albo brody do ziemi, ubierają się jak Indianie, mają wytatuowane plecy albo umięśnione bicepsy jak John Rambo I, II i III.

Jednego z takich atrakcyjnych dorosłych chcieliśmy obejrzeć tamtego upalnego poranka. Mario i Siniša za nic nie mogli uwierzyć, że jeszcze nie widziałem typa z czerwoną naroślą na twarzy. Niektórzy twierdzili, że to ogromny guz na mózgu, inni byli przekonani, że to bulimia, jakaś nowa choroba, o której mówili już w telewizji i która, jak dowodził Siniša, podobno zmienia powoli człowiekowi głowę w wielką czerwoną bulę. Do tej pory typa z bulą widzieli wszyscy oprócz mnie, zapewniał Mario, a Siniša zaczął wyliczać po

kolei historyjki z owym typem w roli głównej. No więc, zapewnił największy pleciuch w Puli, kiedyś na Vidikovcu jakaś niemiecka turystka zszokowana jego widokiem zaczęła iść tyłem i doszła aż do swojego hotelu na Verudeli, a jakaś włoska rodzina podobno zawiadomiła o jego istnieniu milicję i ambasadę włoską w Belgradzie. Obaj, Mario i Siniša, przekonywali mnie, że muszę zobaczyć tego człowieka, bo tylko połowę głowy ma normalną, a druga, jakby ją ktoś nadmuchał, jest czerwona i wygląda jak przekrojony arbuz albo piłka do koszykówki.

Nie musieli mnie długo namawiać, wkrótce wszyscy trzej maszerowaliśmy w kierunku hotelu robotniczego po drugiej stronie ulicy Vitezicia. W tym otynkowanym na biało i okropnie nudnym budynku o kształcie prostopadłościanu oprócz typa z naroślą zakwaterowano głównie robotników ze stoczni Uljanik, którzy po ciężkiej pracy całymi popołudniami wysiadali przed wejściem, pili swoje piwa nikšićkie i sarajevskie, międlili jakieś swoje bośniackie tematy. Chociaż mieszkali tuż obok, za rogiem naszych bloków, żyli jakby w równoległym, prawie niedostrzegalnym dla nas świecie, kumpłowali się praktycznie tylko między sobą, a wieczorami we wspólnej sali na parterze oglądali w telewizji dziennik, transmisje meczów piłkarskich albo jakiś jugosłowiański serial.

Ale w ciągu dnia – tak po drodze wyjaśnili mi moi świetnie zorientowani przyjaciele – przed telewizorem wysiadawał zwykle tylko typ z naroślą i od wczesnego rana, nie ruszając się z miejsca, oglądał TV Zagrzeb, od serialu *Smogovci* po programy dokumentalne, które prezentował legendarny Đelo Hadžiselimović. Podobno, opowiadał Siniša, mieszkańcy hotelu zebrali pewnego razu kasę, kupili mały przenośny telewizor i zainstalowali w jego pokoju, ale facet i tak codziennie siedział bez przerwy we wspólnej sali, choć nigdy z nikim nie rozmawiał. Podobno, dorzucił Mario, spawacz Vaha kiedyś co dziesięć minut zmieniał mu przed nosem kanał, a typ nawet nie drgnął, jakby mu było dokładnie wszystko jedno, co ogląda.

Po wysłuchaniu tych historyjek stanąłem przed wejściem do hotelu robotniczego z wielkimi oczekiwaniami, czułem się prawie tak jak wtedy, gdy dzień przed premierą wybraliśmy się wieczorem w okolice stadionu Istri, gdzie rozstawiono namiot cyrkowy, bo chcieliśmy po kryjomu obejrzeć próby artystów, ale zanim udało nam się doczołgać w wysokiej trawie i zajrzeć do środka, przestraszyła nas głośnym krzykiem mała Cyganka, a my trzej, duzi chłopcy, rzuciliśmy się do ucieczki przed tą drobną czarną istotką i zatrzymaliśmy się dopiero przy centrum sportowym Pattinaggio.

Ale tego dnia w hotelu robotniczym trafiliśmy na sytuację, która nie mogła się bardziej różnić od tej, jaką spodziewaliśmy się zastać. W małej sali zamiast samotnego typu z naroślą był tłum. I wszyscy gapili się w telewizor, a tam, przynajmniej na to wyglądało, leciały wiadomości. Atmosfera przypominała tę sprzed roku, kiedy po drugim голу, który strzelił Piksi w czasie niezapomnianego meczu z Hiszpanią w jednej ósmej mistrzostw świata, mieszkańców hotelu ogarnął tak wielki entuzjazm, że musiała ich uspokoić milicja, a niejaki Ramo wylądował na oddziale ratunkowym w szpitalu, bo kopnął go prąd, kiedy całował telewizor i antenę.

Dwanaście miesięcy później Siniša, Mario i ja, szukając człowieka arbuza w tłumie kibiców południowego wydania dziennika telewizyjnego, stwierdzaliśmy z zaskoczeniem, że Socjalistycznej Federacyjnej Republice Jugosławii kibicuje tylko niewielka część zgromadzonej ekipy. Większości, co było widać jak na dłoni, nieoficjalnie przewodził Milo Lola Ribar, który codziennie potrafił przydzwigać jedną albo dwie skrzynki piwa, a teraz wydierał się głośniej niż inni: pieprzyć taką Jugosławię, w ubiegłym roku przerznęła z argentyńskimi ustaszami, więc ma ją gdzieś. Koło niego, tuż przed telewizorem, stał Mały Mirso, szesnastolatek, który wyglądał doroślejsz niż Bata Živojinović i tak też się zachowywał, całkiem serio groził wszystkim zebranym, że koniec z opalaniem się na plaży, z Ferragosto i ogniami sztucznymi w amfiteatrze, na który w Puli mówi się Arena. Ale nie powiedział dlaczego. W sali

hotelu robotniczego tłoczyło się wielu kibicujących krzykaczy, a choć nie potrafiliśmy zrozumieć, o co im chodzi, widok zaczerwienionych twarzy wskazywał, że dają z siebie wszystko.

Przy samym wejściu, gdzie utknęliśmy z powodu ścisku, stał słynny w Puli kinooperator Cera, który nazywał nas małymi sąsiadami i wpuszczał za darmo na wieczorne seanse w kinie Beograd. Sala była wtedy zazwyczaj pusta, bo cała Pula wiedziała, że po ósmej Cerze mylą się szpule i puszcza filmy od środka albo od końca. Ale bez względu na miłość do istrijskiej rakii, biski, Cera był jednym z najsympatyczniejszych ludzi, jakich znałem, więc tamtego dnia, gdy tylko zobaczył, że żaden z nas nie ma zielonego pojęcia, co się tu dzieje, od razu odwrócił się do nas i powiedział: „Niech Janezi¹ jadą do Luksemburga kąpać się w morzu, jak nie podoba im się Jugosławia”.

Najwyraźniej szpule pomyliły się dzisiaj Cerze dużo wcześniej niż zwykle, dlatego wciąż zaskoczeni wpatrywaliśmy się w tłum zahipnotyzowany wiadomościami. Wszyscy żyliśmy w przekonaniu, że nawet *Kalendarz telewizyjny* jest bardziej interesujący niż *Dziennik telewizyjny*, więc nie rozumieliśmy, co jest grane. Siniša i Mario zaproponowali, żebyśmy się co prędzej stąd wynieśli i pomaszerowali z powrotem, ja jednak chciałem zobaczyć typa z naroślą, dlatego zrobiłem kilka kroków do przodu, szukając go w gromadzie coraz bardziej rozwścieczonych widzów. Ale zamiast człowieka arbuza za szklaną ścianą na przeciwległym końcu sali zobaczyłem ni mniej, ni więcej tylko mojego ojca, który powoli mijał hotel, zmierzając w kierunku naszego bloku.

Ojciec w drodze do domu zwykle zaglądał, przynajmniej na kilka minut, do hotelu, wypijał piwo, wypytywał o najnowsze wieści i często je komentował, najchętniej z Małym Mirsą, który był jego ulubieńcem. Ale tamtego dnia, gdy Mirso wszedł na krzesło przed telewizorem i wkurzony

1 Janez (słoweńska wersja imienia Jan), tak nieco pogardliwie mówili i mówią o Słowenach przedstawiciele innych narodów Jugosławii. (Wszystkie przypisy tłumaczkii).

zaczął wykrzykiwać do zgromadzonego tłumu, że nadchodzą czasy, kiedy zmądrzeją nawet najwięksi głupcy, ojciec zamyślony szedł dalej, nie zwracając ani przez chwilę uwagi na to, co działo się zaledwie kilka metrów od niego.

Usiłowałem przebić się przez tłum i złapać go przed wejściem po drugiej stronie budynku, ale szybko stwierdziłem, że przedarcie się przez gromadę wymachujących rękami krzykaczy jest wyzwaniem rzuconym mojemu losowi, bo mógłbym przypadkiem dostać po głowie. Odwróciłem się więc na pięcie i pobiegłem, żeby zatrzymać ojca przed sklepem. A ponieważ widziałem, jak wlecze się noga za nogą, nie musiałem się bać, że nie zdążę.

Miał spojrzenie człowieka niewidomego. Kiedy stałem przed sklepem, czekając, aż się zbliży, pomyślałem, że pójdzie dalej i nie zauważy mnie, tak jak wcześniej minął tłum w hotelu robotniczym. Jakby przeszedł koło tureckiego cmentarza, powiedziałaaby ciocia Enisa. Ale zatrzymał się i przytulił mnie z całej siły. Zabrakło mi tchu, pod jego mundurem poczułem umięśniony brzuch, który bardzo lubił pokazywać, gdy brodził w płytkiej wodzie na plaży Gortanova uvala. Ja i mama często nabijaliśmy się z tego, lecz on wciąż sprzedawał nam kawałki o różnicy temperatur wody i powietrza, twierdził, że niezdrowo jest od razu wskakiwać do morza. Mój ojciec nigdy nie pił w pracy, słyszałem nie wiem ile razy, jak mówił, że tylko w Jugosławii pije się w pracy więcej niż po pracy i że kiedyś przedwcześnie wpędzi to państwo do grobu, ale kiedy trzymał mnie mocno w objęciach, najpoważniej w świecie przyszło mi do głowy, że jest pijany.

W końcu mnie puścił, lecz po chwili jeszcze silniej złapał mnie za rękę i znów przytulił, patrząc długo dziwnym wzrokiem, pomyślałem, że naprawdę pomieszało mu się w głowie, a on tylko zapytał, czy poszedłbym z nim na targ po He-Mana.

Coś było bardzo nie tak. Plastikowe figurki bohaterów kreskówki, którą uwielbiałem, były moimi najukochańszymi zabawkami, ale mama za nic nie zgadzała się na powiększenie

kolekcji, bo w domu miałem już trzy: He-Mana, Szkieletora i Teele, więc wydawało jej się, że to absolutnie wystarczy. Mówiła, że są za drogie, a poza tym już się nimi nie bawię, jestem na to za duży i kupuję je tylko dlatego, że jestem rozpuszczony, i patrzyła przy tym znacząco na ojca, który udawał, że nie wie, o co chodzi.

Na targ szliśmy w ciszy. Ojciec nie zatrzymywał się co kilka kroków, żeby się z kimś przywitać, co zwykle kończyło się tak, że wracałem do domu z siatką pełną zakupów, a on do późnego wieczora na chybیکا strzelał po kielichu z Vlatkiem albo Matem. Wieczorem pijany przytulał mamę, która unikając jego czułości, powtarzała obrażona, że przez następny miesiąc będzie obściskiwał tylko swoich pijaków. Tamtego dnia ojciec maszerował przez miasto ze spuszczoneymi oczami, czasem tylko skinął komuś głową i ku mojemu wielkiemu zdziwieniu nie chciał przystanąć nawet przy ruinach koło parku Nikoli Tesli, gdzie traktując to niemal jak rytuał, liczyliśmy bosonogich małolatów, od których roiło się zakurzone podwórko koło domu już od dwóch lat ozdobionego wielkim graffiti

KOSOWO REPUBLIKA – ISTRIA KONTYNENT!

Małolatami nazwaliśmy kiedyś z ojcem małych Cyganów, którzy przy końcu długiego pomostu na Valkanach codziennie kąpali się gromadnie w koszulkach z krótkimi rękawami, jak Milan, syn Jovana, chudy nastolatek, który w ten sposób, tak wyjaśniła mi mama, ze wstydu przed koleżankami z klasy chował wystające zębra.

Nie dowiedziałem się nigdy, co pod koszulkami ukrywali mali Cyganie na Valkanach, ale też nie interesowało mnie to jakoś szczególnie. A mój ojciec po swojemu podziwiał Cyganów i lubił opowiadać, że jest jednym z nich, zwłaszcza opróżniając butelkę śliwowicy od Stanežiča, jego ulubionej, z Pleterja, wyjaśniał bardzo poważnie, że kiedy był nie

większy od bochenka chleba, jego cygańscy rodzice, którzy oprócz niego mieli jeszcze osiemnaścioro małych Cyganiątek, zapomnieli go zabrać, opuszczając z cyrkowymi namiotami miasteczko Futog w Wojwodinie. A ponieważ nie było innego wyjścia, usynowił go miły serbski wujek i jeszcze milsza węgierska ciocia, lecz niestety zmarli przedwcześnie i zostawili malca w spadku Jugosłowiańskiej Armii Ludowej. Wszyscy zawsze z zaciekawieniem słuchali mojego radośnie nawijającego ojca i nigdy na dobrą sprawę nie wiedzieli, czy powinni się nad nim litować, czy mu zazdrościć takich niezwykłych kolei życia.

Ale bez względu na to, czy o ojcu naprawdę zapomnieli kiedyś cygańscy cyrkowcy, czy wszystko to zmyślił, żeby upiększyć smutną historię o sierocie, którego wychowali kapitanowie i generałowie, figurki He-Mana dostawałem chyba także dlatego, że sprzedawał je Cygan Maki. Ojciec targował się z nim w nieskończoność, czasem nawet przez pół godziny potrafił zbijać cenę z ośmiu do czterech dinarów, żeby w końcu – gdy pogodzony z porażką Maki wkurzał się już tylko dla porządku, że cztery dinary to okradanie uczciwych sprzedawców szmuglowanego towaru – wcisnąć mu do ręki dziesięć, przyjaźnie poklepać go po ramieniu i na pożegnanie rzucić, że w życiu nie widział tak porządnego Cygana.

Tamtego dnia ojciec nie targował się ani przez chwilę. Bez słowa podał pieniądze Makiemu, a ja zdążyłem tylko rzucić okiem na jego różnokolorowe rupiecie. W tym czasie ojciec zniknął mi w tłumie. Wtedy pierwszy raz w życiu poczułem o niego niepokój, przerażony rzuciłem się między ludzi. Zacząłem się bać, że pogrążonego w myślach ojca, kiedy wyjdzie na ulicę i nie rozejrzy się ani na prawo, ani na lewo, przejedzie szalony włoski turysta albo pijany barba² na vespie. Dlatego z plastikową figurką w dłoni coraz bardziej nerwowo biegałem po całym targu, potrącając kobiety

2 Na całym chorwackim wybrzeżu Adriatyku wyrażający szacunek, a zarazem pełen ciepła zwrot stosowany wobec starszego mężczyzny.

w kwiecistych sukienkach, ale po ojcu ślad zaginał. Przez moment nawet przyszło mi do głowy, że zapomniał o mnie i sam poszedł na obiad do domu, w końcu jednak go zobaczyłem, stał przed wejściem do domu i zbity z tropu rozglądał się wokoło. Chciałem podbiec do niego, ale wtedy ktoś położył mi na ramieniu ciężką rękę i nie mogłem się ruszyć. Kiedy się odwróciłem, zobaczyłem Makiego, który z troską gapił się na mnie wielkimi czarnymi oczami: „Coś bardzo dziwnie zachowuje się ten twój stary, synu. Czy przypadkiem i on nie dostał przeniesienia?”.

Nigdy wcześniej nie słyszałem słowa „przeniesienie” i nawet mi się nie śniło, co znaczy. Miałem jedenaście lat i śniło mi się tylko to, że Mario pożyczyci Łódź od swojego ojca i tego lata wszyscy trzej popłyniemy nią sami na Fratarski otok.

2

KOSOWO REPUBLIKA – ISTRIA KONTYNENT!

Nie miałem pojęcia, skąd ponad szesnaście lat później wzięło się to dawno zapomniane graffiti z Puli, ale wydawało się, że litery pulsują w rytm mojego coraz bardziej oszalałego serca. Obrazy, twarze i widoki, które głęboko ukryłem pod powierzchnią świadomości, pojawiały mi się przed oczami niczym w zwariowanym teledysku MTV. Moje dawne życie powracało pod postacią halucynacji, miałem wrażenie, że znalazłem się na szalonej karuzeli i że w każdej chwili może mnie ona na zawsze cisnąć w świat, który – tak myślałem – udało mi się wymazać z pamięci. Gwałtownie wzburzona podświadomość wyrzucała różne obrazy, a ja wbrew woli poddawałem się temu coraz silniej. Grube czarne litery na białych ścianach pulsowały wciąż intensywniej, wydawało mi się, że lada chwila rozpadną się razem z kamiennymi murami domów Puli, na których niegdyś były wymalowane.